Warszawa, 29 Lipca 1911. Rok II. Nr 30.

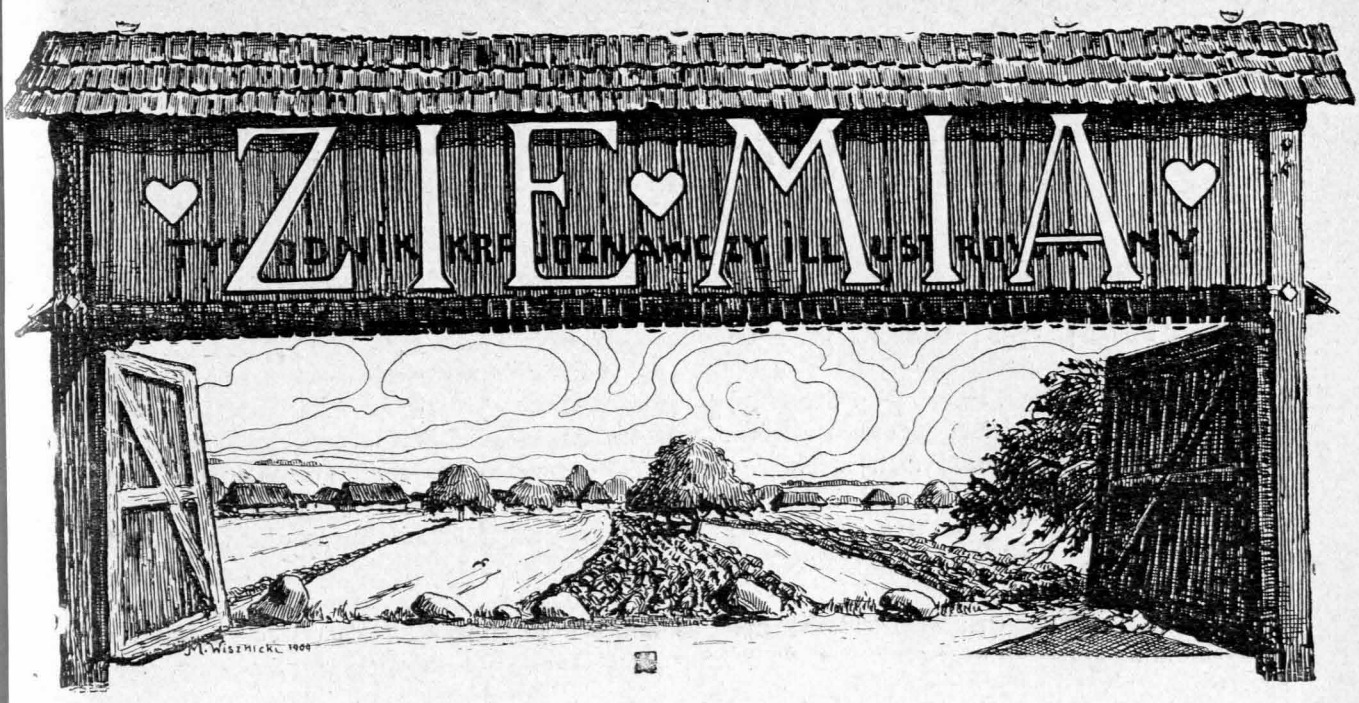

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.

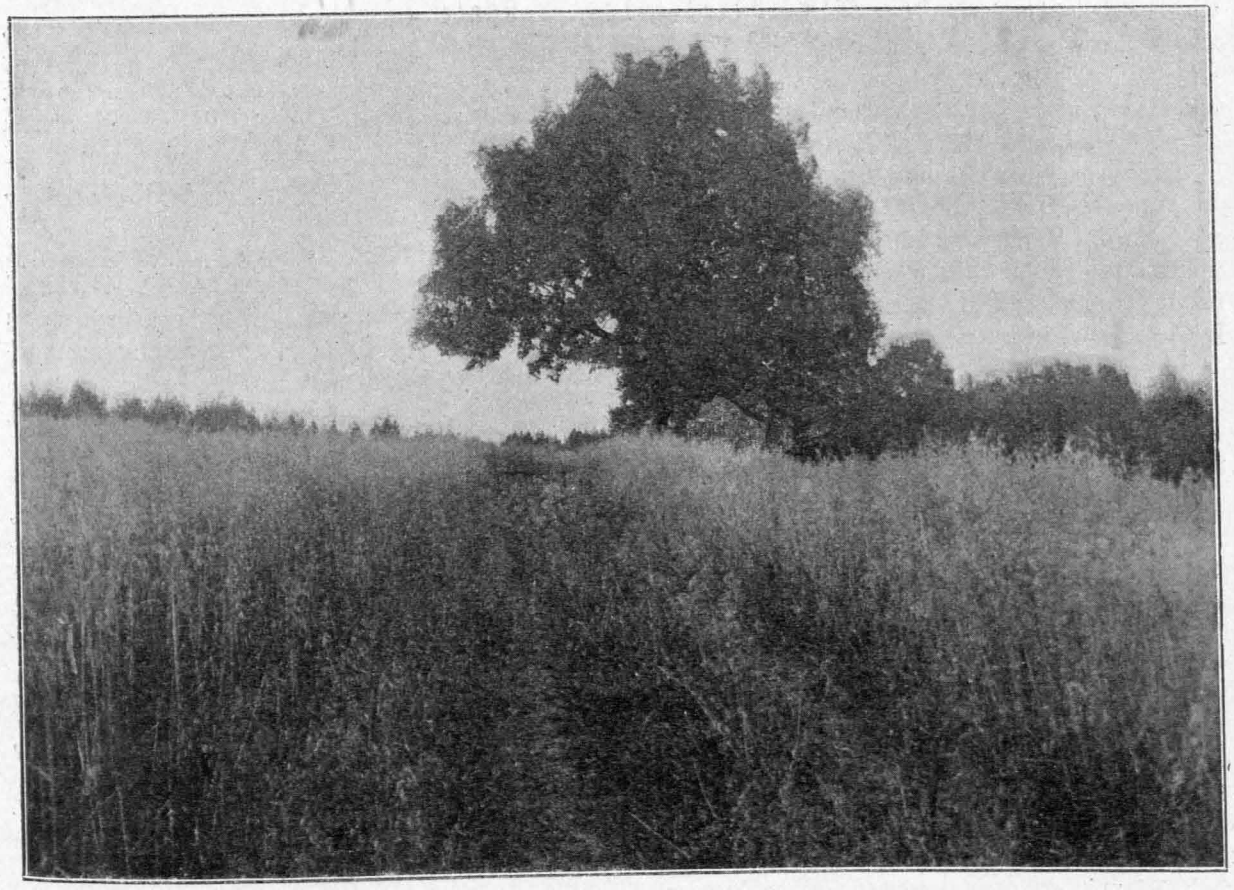

32. Z POW. WINNICKIEGO *fot. M. Wiszniсki.*

http://sbc.wbp.kielce.pl/

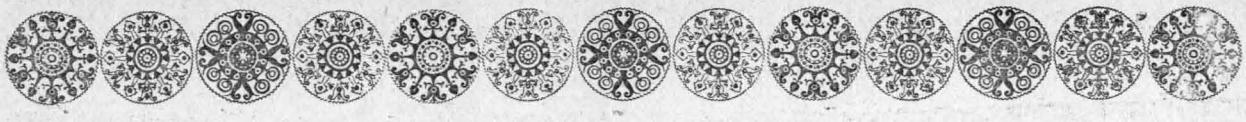

Soboty i sobótki. [1]

W zeszłorocznej „Ziemi" (str. 470) i lwowskim „Ludzie" (t. XVI. 221) ogłosiłem rodzaj wywiadu w sprawie sobot, t. j. „podcieni", jakie napotykamy przy starych naszych kościołach drewnianych i dzwonnicach. Ponieważ podobne podcienia bywają i przy wiejskich domach w górach, miałem nadzieję, choć bardzo małą, że może do sobot przybędzie jaki nowy szczegół. To zupełnie zawiodło, ale natomiast pojawił się w „Ludzie" (t. XVI. 285—290) artykuł dra M. Tretera, objaśniający soboty ze stanowiska historyi architektury, artykuł, w którym znalazłem stwierdzenie dwu nader ważnych dla mnie rzeczy: a) że soboty zowią się inaczej zamsze; b) że soboty to podcienia wyłącznie przy kościołach, gdyż podcienia przy domach świeckich nigdy się tak nie nazywały i nie nazywają. Że zamsze to samo, co soboty, wiedziałem już z książki, zacytowanej w wywiadzie i skądinąd, a co do sobot, domyśliłem się, że one tylko przy kościołach się tak zwały, i dlatego w wywiadzie o ten szczegół wyraźnie zapytywałem, ale stwierdzenie tych faktów przez człowieka, który te rzeczy zna dokładnie, było dla mnie jako filologa, który ze sprawami architektury nie zawsze może być tak obznajmiony, jakby tego pragnął, rzeczą wielce pożądaną.

Dalszych wyjaśnień z powodu mego wywiadu próżno, zdaje się, czekać, więc już choćby przez wdzięczność dla dra Tretera winienenem podać, co z mego filologicznego stanowiska o sobotach myślę, a może też także i moje przedstawienie rzeczy wywoła dalszą dyskusyę, która się przyczyni do rozjaśnienia sprawy dotąd tak bardzo zagadkowej.

Skoro zamsze to samo, co soboty, to warto wiedzieć filologicznie i rzeczowo, co one są, bo to może rzuci jakie światło i na sprawę sobot.

Niestety i zamsze, o ile wiemy, dotąd nie wyjaśnione (przynajmniej filologicznie, bo nie wiem dobrze, jak się ta rzecz ma w architekturze), więc, jak we wszystkiem, o czem niżej przyjdzie nam mówić, tak i w tej rzeczy, oprzeć się będziemy mogli wyłącznie niemal na własnych studyach.

Zamsze, jak soboty, nie wyjaśnione, ale nie brak przecież wskazówek, które do wyjaśnienia doprowadzić mogą. Wiem przynajmniej, zdaje mi się na pewne, skąd ten wyraz pochodzi i co pierwotnie znaczył. Bezpośrednio otrzymaliśmy go z Niemiec, gdzie wyraz Sämischleder lub w skróceniu Sämisch oznacza „irchę". Sämisch brzmiało po niemiecku niezawodnie także Samisch, skąd czeskie zamis „ircha", a także Samsch, skąd nasze zamsz, zamesz, zamsza i rosyjskie zamsza, zamszina. Ani w niemczyznie, ani u nas nie oznacza to skóry z jakiegoś ściśle określonego zwierzęcia, lecz wogóle skórę na sposób irchy wyprawioną. Lecz jakkolwiek wyraz ten przyszedł do nas z Niemiec, nie jest on przecież niemiecki; niemcy otrzymali go z Francyi, gdzie brzmi obecnie chamois i znaczy „giemza, skórka giemzowa, ircha" i gdzie chamoiser znaczy „na zamsz wyprawiać". Francuzi zaś posiadają ten wyraz w spadku po łacinie ludowej, jak świadczy włoskie camoscio „giemza, skóra giemzowa", a camosciere, „na zamsz wyprawiać".

Takie więc jest pochodzenie naszego zamszu i takie pierwotne jego znaczenie; pytanie teraz jak wyraz, który oznaczał skórę, wyprawianą na zamsz, przybrał u nas (a prędzej jeszcze niezawodnie zagranicą) także znaczenie „podcieni, sobot"?

Jak do tego przyszło, łatwo zrozumiemy, skoro sobie przypomnimy, że w Biblii mówi się nieraz „pod skórami" zamiast „pod namiotami"[1]; że łacińskie cutis „skóra" brzmi po niemiecku nie tylko Haut „skóra", ale także Hütte i znaczy „chata"; [2]) że łacińskie scutum „skóra", oznacza w tymże języku także „tarczę", bo tarcze pokrywano skórą; że tenże sam wyraz brzmiał w dyalektach także scotum i oznaczał „chatę" i to, co z nią było złączone „bydło, mienie"; że w tem znaczeniu dostaje się do nas i jeszcze w staropolszczyźnie oznacza bydło; że dostaje się także do gotów i niemców, u których brzmi dzisiaj Schatz i oznacza „skarb". A mieliśmy i skuty, z niemiecka szkuty—skórami okryte statki wodne. A i nasz czysto słowiański wyraz pielesze „siedziba, mieszkanie", tudzież pieluchy zrozumiemy należycie dopiero wtedy, kiedy zważymy, że to ten sam wyraz, który po niemiecku brzmi Fell „skóra", a po łacinie pellis—„skóra". Więc to i my mieszkaliśmy niegdyś „pod skórami", skutkiem czego „pielesz—„skóra" przybrała z czasem znaczenie „siedziby, mieszkania"; więc to i my,

---

[1]) Zob. Biblia król. Zofii z r. 1455. (wyd. Małeckiego) str. 249 a: „Ja bydlę w domu cedrowem, a skrzynia zaślubienia pod skórami jest".

[2]) Zob. Fried. Kluge. Etymologischer Wörterbuch der deutschen Sprache. Strassburg 1905.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

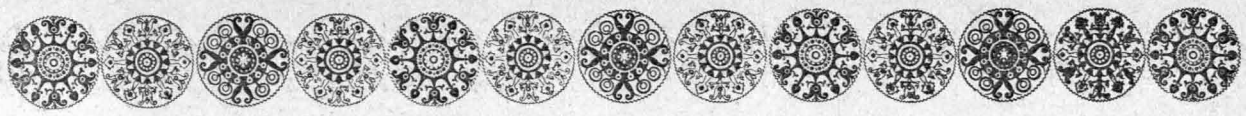

maleństwa nasze, podobnie jak niemcy, [1]) okrywaliśmy przed wiekami, nie mając jeszcze płótna, pieluchami, t. j. „skórami", skutkiem czego potem nazwa ta przywarła na wieki do obsłon dziecięcych, choć później znalazło się dla dziatwy nie tylko płótno, ale i jedwab.

Nad stołami kramarskimi wzdłuż domów na rynku rozpościerano dla zasłony przed słońcem i niepogodą budy, dachy zamszowe, które razem formowały podcienia, i oto skąd zamsz został „budą" i „podcieniem". Gdy podobne podcienia na wzór greków i rzymian poczęto budować w wiekach średnich przy kościołach i domach prywatnych dla celów handlowych czy osobistej wygody, cóż dziwnego, że te podcienia nazywano nietylko z łacińska solaria (od sol — słońce), skąd staroniemieckie sölre, dzisiejsze Söller,[2]) ale także przez podobieństwo do zamszów również zamszami.

Zupełnie takuteńko ma się rzecz z niemieckim wyrazem Laube (staroniem. louba, średnioniemieckie loube, loub „chatka, hala"), używanym dzisiaj tylko w złożeniach, jak Gartenlaube „altana" lub niedawno jeszcze Tuchlaube „sklepik z suknem", czyli jak u nas mówiono w liczbie pojedyńczej „sukiennica", a w l. mn. „sukiennice". [3]) W czasach historycznych jest to znowu budka kramarska, jak zamsz, i tak samo jak zamsz przybrała w Norwegii, gdzie brzmi lob, w znaczeniu „podcieni" kościelnych czyli naszych sobot. [4]) Jakie znaczenie pierwotne tego wyrazu, niemcy już nie wiedzą, ale my wiedzieć możemy, gdyż wyraz ten pozostawił po sobie w naszym języku niezatarte ślady. Od niego to bowiem poszedł wyraz łub i łuba (porów. pałuba) w znaczeniu „kora, skóra". Łubem czyli korą pokrywają w górach po dziś dzień chaty leśne, a niegdyś pokrywano nim także wozy, sanie, jak świadczą cytaty z pisarzy dawniejszych w Słowniku Lindego. Łubem „skórą", obijano niegdyś kolasy pańskie, sajdaki, tarcze, robiono łuby podróżne do pakowania rzeczy, o czem każdy wie dobrze choćby tylko z powieści Sienkiewicza. Pałuba oznacza w staropolszczyźnie „osłonę wozową, nakrycie" i wogóle „osłonę, zasłonę". Więc też powiada Marcin Bielski: „Nie zgasi ognia tego pod tą pałubą". [5]) W rosyjskim języku pałuba oznacza „pokrycie wozowe i okrętowe". Pałubą a także połubem przez podobieństwo do łubu z obdartego pnia nazywano pień wypróchniały lub sztucznie wyżłobiony. To też w Władysławie Twardowskiego, czytamy: „Czołny z jesionowych wyrobiwszy połubów, Dnieprem się puszczają". Od takiego pnia wypróchniałego przezywano i stare kobiety pałubami.

I otoż znowu jak przy zamszach od kory i skóry, którą pokrywano budki kramarskie, przyszliśmy do znaczenia hal, sklepów kupieckich i podcieni kościelnych. [1])

Ale skoro Laube = lob = zamsz, a zamsz = sobota, to wynikłoby stąd, że soboty nasze były pierwotnie podobnemi „nakryciami, budkami, chatkami", jak lauby, loby i zamsze, więc gdy coś podobnego powstało przy naszych kościołach, nazwa przeniosła się do podobnych przy nich podcieni. Gdyby się wszakże takie przypuszczenie zrobiło, to trzebaby zaraz dodać, że jeżeli istotnie były u nas także budki i chatki, zwane sobotami, to musiały być zdawna związane wyłącznie ze świątyniami i służyć celom religijnym, gdyż soboty łączą się u nas wyłącznie z kościołami, a nie jak lauby, także z domami świeckimi. Ale, czy coś podobnego znajdowało się przy naszych świątyniach pogańskich?

(DCN) *S. Matusiak.*

□□□□□□□□□□□

---

[1]) Karl Weinhold. Die deutschen Frauen in dem Mittelalter (Wien 1882) str. 101.

[2]) Fr. solier—„śpiżarnia", włoskie solaja, solare „powała na izbie".

[3]) Po czesku loubí, podloubí „podcień, hala, budka".

[4]) Noreweskie lob przyszło z Niemiec; iaczej brzmiałoby low.

[5]) Zob. Słownik Lindego.

[1]) Na oznaczenie kory i skóry mieliśmy w językach słowiańskich i po części mamy jeszcze wyraz łup, łupa, łupia, łupież. Łupieżami t. j. skórami płaci się jeszcze u nas w XV wieku kary sądowe, jak świadczy tłomaczenie praw Kazimierza W. i Jagiełły z r. 1449, a łup w języku słoweńskim dzisiaj jeszcze oznacza skórę, stąd i łupina i łupić „ze skóry ździerać" i łup „zdobycz" a raczej to, co z kogo złupiono, zdarto. Z tym słowiańskim wyrazem w związku niewątpliwym pozostają niemieckie wyrazy Läufel „łupina" a zwłaszcza z orzecha i Lauft „kora drzewna" zapewne także Laub „liście" (zbiorowo), pierwotnie zapewne „osłona", (Unter dem Laube des Waldes, der Bäume znaczyłoby pierwotnie „pod osłoną lasu, drzew" potem dopiero „pod liściem") tudzież wyraz Laube, o którym mówiliśmy wyżej. Nie jest rzeczą wykluczoną, że tak Laub jak i Laube są pochodzenia słowiańskiego (Laub=łup, Laube=łupia), w takim razie wyraz łup byłby w językach słowiańskich tylko rewindykacyą wyrazu pierwotnie słowiańskiego. Ale wdawać się w te rzeczy na tem miejscu nie możemy, niech zresztą rzeczy te rozstrzygają kompetentniejsi w tych sprawach.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

PRZEZ WYŻYNĘ MAŁOPOLSKĄ. 7)

Dziennik wycieczki.

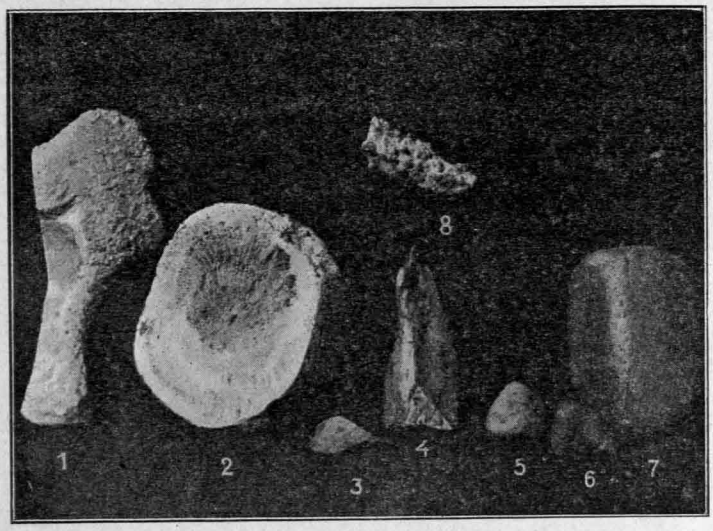

1. STARTA GĄBKA KRZEMIONKOWA *fot. W. Strzelecki.*
2. „ „ „ (widoczna budowa)
3 i 4. UŁAMKI GĄBEK
5, 6 7. DALSZY ROZWÓJ TAKICH UŁAMKÓW („drejkantery")
8. FULGURYT.

Środkiem pustyni przepływa Biała Przemsza, a nad jej brzegami ciągną się dwa wąskie szeregi ciemnej zieleni: to sosny karłowate utworzyły szpaler na przyjęcie rzeki, urozmaicającej monotonny krajobraz. Geneza piasków olkuskich nie została dotychczas należycie wyświetlona; jedni przypuszczają, że są to piaski dyluwialne, t. j. lodowcowe, inni zaś, że wytworzyły się one na miejscu z gąbek krzemionkowych, występujących w niezliczonych ilościach w jurze tutejszej. Jak o tem już wzmiankowałem, utwory jurajskie w ubiegłych okresach geologicznych rozciągały się dalej na zachód, o czem świadczą pojedyńcze skały, sterczące ponad pokładami starszymi; erozya zniszczyła część pasma, wody wyniosły zwietrzały wapień, ciężkie buły krzemionki pozostały na miejscu, zwietrzały, a wytworzony z nich piasek pokrywa okolice Olkusza.

Wypocząwszy w czasie robienia notatek i pisania karty do znajomych, puściłem się w drogę do Sławkowa. W drodze wypadło mi przejść po kładce przez dopływ Białki, ale czy to wskutek przegnicia kładki, czy też kilkudziesięciofuntowego ciężaru, jaki dźwigałem, deska załamała się i trzeba było iść w bród. Pośpiesznie maszerowałem ku Sławkowowi, bo zapadał już zmierzch; pomimo tego jednak na pierwszy rzut oka można było poznać charakterystyczny pokłady lessowe około Krzykawki.

Późnym wieczorem przeszedłem drewniany most na Przemszy, na prawym brzegu której stoi Sławków. Starożytne to miasteczko na szczęście nie posiada zabytków godnych oglądania, to też tem spokojniej położyłem się spać, gdyż następnego dnia wczesnym rankiem musiałem wyruszyć dalej, a na zwiedzanie miasta czasu nie starczyło.

13 sierpnia.

O dziewiątej rano odchodził z Bukowna pociąg, którym chciałem wracać do Warszawy, a w planie wycieczki pozostało mi obejrzenie profilu pomiędzy Sławkowem a Bukownem. Wypadło więc wstać bardzo rano po dniu tak uciążliwym jak wczorajszy, założyć na ramiona szczelnie wypchany kamieniami worek podróżny i przejść szybkim marszem kilkanaście kilometrów. Niechętnie zastosowałem się do takiego rozporządzenia, wydanego samemu sobie, ale poszedłem. Po drodze w przekopie znalazłem głazy z czerwonego piaskowca gruboziarnistego i takież gliny z głazikami kwarcu. Dalej glina czerwona przechodziła w zlepieniec z dewońskich wapieni koralowych, porfirów krzeszowickich i kawałków kwarcytu. Jest to u nas najniższe ogniwo systemu pstrego piaskowca tryasowego.

Ulokowawszy się w Bukownie w wagonie, obserwowałem nadal okolice z okna. Zaraz za przystankiem widoczny był wylot sztolni Czartoryskiej, za Olkuszem przy budce Nr. 267 ujrzałem jeszcze raz Babę, podchodzącą tu prawie pod sam plant, dalej widoczny był w przekopie profil geologiczny.

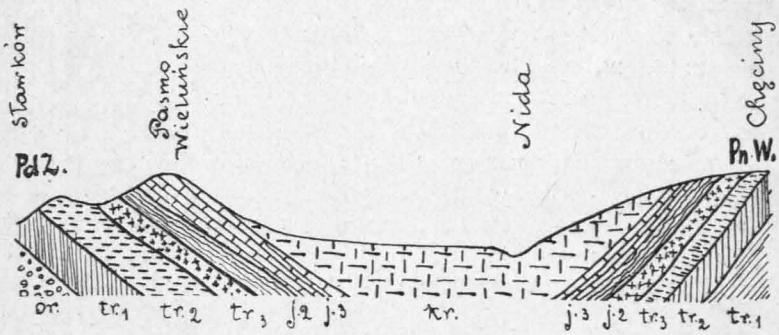

PRZEKRÓJ SCHEMATYCZNY MIĘDZY SŁAWKOWEM A CHĘCINAMI *rys. St. Lencewicz*

tr_1—Perm
tr_1—Piaskowiec pstry
tr_2—Wapień muszlowy
tr_3—Kajper
j_2—jura brunatna
kr.—kreda
j_3—jura biała.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

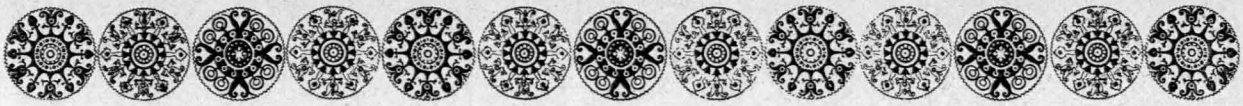

Ciemne gliny jury brunatnej upadają na wschód pod wapienie płytowate, te zaś pod skaliste (jura biała). Dalej pokłady kredowe ciągną się prawie do Chęcin. W Wolbromiu na północ od stacyi z okien wagonu dobrze widać torfowisko, stanowiące dział wodny dorzecza Przemszy i Szreniawy. Wzniesienie nad poziom morza wynosi tu 380 m., dzięki czemu stacya Wolbrom jest najwyżej położonym dworcem kolejowym w Królestwie. Przez pewien czas okrążamy torfowisko, poczem wjechawszy na terytoryum kredowe, uważam wycieczkę i rekapitulacyę za skończoną.

Kończąc, chciałbym tym czytelnikom, którzy nie czują sympatyi do nazw greckich i łacińskich, wyjaśnić, że nie urządzałem bynajmniej wyprawy naukowej; był to tylko siedmiodniowy spacer po najpiękniejszych i bardzo ciekawych zakątkach kraju. W dzisiejszych czasach, kiedy ludzie chorują na przecywilizowanie, oderwanie się od zgiełku życia i kultury na czas pewien wpływa bardzo dodatnio, a obcowanie wyłączne z przyrodą i jej niezwyrodniałym tworem — ludem jest antydotem na truciznę moralną, jaką wnosi do życia cywilizacya współczesna.

Opisana wycieczka była jednak spacerem planowym, przejrzałem bowiem wszystkie formacye mezozoiczne, alludium i procesy dynamiczne, dążące do zniszczenia skorupy ziemskiej. Stronę historyczną pomijam w sprawozdaniu, gdyż nie uważam za rzecz właściwą przepisywanie odnośnych informacyi ze „Słownika geograficznego", jak się to u nas praktykuje, skoro bez trudności każdy z czytelników może je sobie sam odnaleźć.

Jeszcze słówko. W czasach bojkotu niemczyzny używam słów niemieckich, ale nie czuję się upoważniony do tworzenia dziwolągów językowych, a nauka u nas nie jest jeszcze tak popularna, ażeby np. dreikanter miał nazwę polską

Stanisław Lencewicz.

Wejście w zimie na szczyt Rysów.

Przed dwunastu laty Tatr jeszcze nie znałem. Zębaty łańcuch Tatr ukazał mi się po raz pierwszy w jesieni 1899 r. z okien wagonu, gdy po zapaleniu płuc, wyprawiony przez lekarza, zamierzałem roczny urlop przepędzić pod Tatrami. Lekarz wprawdzie w ostatniej chwili zląkł się surowego klimatu tatrzańskiego i cofnął swe polecenie, ale ja się nie cofnąłem i, korzystając z dopiero co otwartej linii kolejowej do Zakopanego, wyruszyłem z rodziną do Bukowiny, wioski pod Tatrami, wyżej niż Zakopane położonej, gdzie kolega w zawodzie ks. G. ofiarował mi willę swą na mieszkanie.

Wtedy to zaznałem, co za dziwny, powiedziałbym magiczny wpływ wywierają Tatry. Od chwili ukazania się na horyzoncie groźnego wału poszarpanego, nie mogłem oderwać od niego wzroku, a gdy z Nowego Targu przybyliśmy późnym wieczorem do Bukowiny, myśl o Tatrach zbudziła mnie wcześnie następnego ranka, 3 listopada, i pobiegłem do okna, aby zobaczyć słynny widok z Bukowiny. I zaiste! Tatry powitały mnie ustrojone w całą swą cudowną krasę. Pokryte śniegiem nabierały z oddalenia barwy szafiru, gdy regle i strome, niepokryte śniegiem turnie tonęły w granatowej barwie. Cały zachwyt jednak zwracał się ku szczytom, które opłomienione szkarłatem wschodzącego gdzieś za horyzontem słońca, żarzyły się i grały całem widmem barw słonecznych — od najczystszego fioletu w cieniach do najognistszej purpury wprost rozświetlonych pól śniegowych.

Od chwili tej Tatry zapanowały nad mym umysłem. Korzystając z biblioteki taterniczej ks. G., zapalonego turysty, rzuciłem się do studyowania map i dzieł o Tatrach, marzyłem o nich w dzień i w nocy, począłem robić wycieczki przynajmniej na „Głodówkę", aby oczy nasycić słynnym stamtąd widokiem, a gdy ks. G. przyjechał do nas podczas świąt Bożego Narodzenia, nie wahałem się — rekonwalescent, któremu już powietrze tatrzańskie siły wracało — zrobić 31 grudnia pierwszą mą wy-

http://sbc.wbp.kielce.pl/

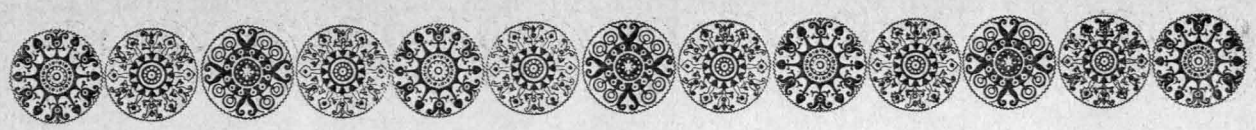

cieczkę w Tatry przez Roztokę do Morskiego Oka.

Wycieczka ta mimowoli przypominała się, gdyśmy znów w roku ubiegłym z ks. G., z którym nieraz już w Tatrach byliśmy, planowali wycieczkę zimową w Tatry. Wycieczkę jednak niebezpieczną, bo chcieliśmy zdobyć w zimie od strony Morskiego Oka najwyższy z polskich szczytów — szczyt Rysów. Ks. G., słynny taternik, już od dwóch lat kusił się o to nadaremnie — bądź to awiny —bądź inne okoliczności uniemożliwiły mu osiągnięcie celu. Porobił on też z całą starannością przygotowania do naszej wycieczki, w której miał wziąć udział także profesor gimnazyum tarnowskiego, przyrodnik p. D., oraz jeden z najlepszych przewodników zakopiańskich, Jakób Krzeptowski, zwany Wawrytką.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia wybraliśmy się wieczorem do Zakopanego z p. D., gdyż ks. G. niespodziewanie zatrzymany miał dopiero za 1 lub 2 dni podążyć za nami. Licząc, że w pociągu nocnym wyśpimy się — zawiedliśmy się najzupełniej. Taki natłok podróżnych, szczególnie królewiaków, jadących do Zakopanego był w pociągu, że nie tylko o spaniu, ale nawet o wygodnem siedzeniu nie było mowy. Mimo to, przybywszy po 6-tej rano do Zakopanego i zostawiwszy część bagaży z ciężkich worków w hotelu, wybraliśmy się z p. D. we dwóch do hali Gąsienicowej.

Niestety! ciężka droga nie została wynagrodzona żadnym widokiem. Gdy wyruszaliśmy z Zakopanego nie był stan pogody beznadziejny i można się było spodziewać, że góry, które przez mgły przeglądały, około południa oczyszczą się. Tą nadzieją popędzani nie dbaliśmy o sypki śnieg, w którym nogi mimo nałożonych harpli zapadały się dość głęboko, nie dbaliśmy o zimny wicher, który, rwąc śnieg zlodowaciały ze zboczy, uderzał nim w twarz, kłując ją jak szpilkami — i parliśmy naprzód przez Boczoń. Nadzieja nas jednak zawiodła, gęsta chmura pokryła wszystko,—a jednak mogliśmy się czuć szczęśliwi, przynajmniej do hali doszliśmy i znaleźli kuchnię schroniska niezamkniętą. Tu też zgotowaliśmy na wodzie ze stopionego śniegu posiłek — poczem nastąpił powrót do Zakopanego.

Wycieczka ta dokuczyła nam — w dodatku p. D. całą noc, drugą już nie zasnął — nic więc dziwnego, że gdy nazajutrz ks. G. przybył do nas, p. D. z wycieczki na Rysy zrezygnował i z Zakopanego wyjechał.

Ten dzień jednak wskutek wahania się p. D. straciliśmy, a jakkolwiek był pochmurny i ze śnieżycą, na dojazd do Morskiego Oka mógł być wyzyskany. To też, gdy następnego cudnego poranka zimowego jechaliśmy sankami do Morskiego Oka, całą radość psuła nam myśl, że moglibyśmy już iść na Rysy, a następnego dnia, kto wie—jaka może być pogoda. Słoneczny dzień szczególnie jednak nadawał się na zdjęcia fotograficzne — to też nie zaniedbywałem sposobności, aby z każdego piękniejszego widoku zrobić zdjęcie stereoskopowe. Inteligentny przewodnik Wawrytko zaraz zrozumiał, jak może mi być przy tem pomocnym, przez co czasu wiele nie traciliśmy i przed 3-cią popołudniu dojechaliśmy do Morskiego Oka.

Tonęło ono już w głębokim cieniu. Słońce skryte gdzieś za Mięguszowieckie turnie oświetlało tylko Niżne Rysy, które oślepiającą bielą odrzynały się od błękitnego cienia na śniegu. Tuż nad gładką płaszczyzną śniegową, pod którą spało Morskie Oko, jakiś malarz zakutany w futro szybko zamalowywał płótno oparte o sztalugi, raz po raz spoglądając ku zmartwiałym turniom; w dali na polu śniegowem jakieś czarne punkciki: to dr. Sawicki i dwaj górale. Dr. Sawicki robi pomiary temperatury wody na różnych głębokościach Morskiego Oka. Na brzegu kilka osób zapatrzonych w niezwykły swą martwotą i grozą obraz, a ze schroniska wysuwa się mała drużyna panien i mężczyzn, przywiązują narty i znikają za wzgórzem.

Udajemy się do schroniska, gdzie wyznaczają nam pokój, w którym mamy zanocować, a przedewszystkiem zrobić przygotowania do wycieczki. Planem naszym było przejść przez Rysy i dobić przez Popradzkie do Szczyrbskiego jeziora. Spoglądając jednak na nasze ciężkie worki i rozważając drogę przez zaspy śniegowe, dochodzimy do przekonania, że więcej nad 8—9 kilogramów w każdym worku brać nie możemy i że część naszego ładunku należy zostawić w schronisku—przez co też i wrócić do niego musimy.

To mając na uwadze, rozdzie'amy około 28 kg. ładunku między nas trzech, przyczem naturalnie ja biorę głównie nieodłączny uniwersalny swój aparat fotograficzny, ks. G. głównie wiktuały a Wawrytko liny, obok czego każdy z nas ma jeszcze dość do dźwigania w worku, nie licząc zimowego ubrania i ciężkich czekanów góralskich.

Noc przepędzamy w letniem schronisku — mimo temperatury poniżej zera w pokoju — stosunkowo dobrze, dzięki kilku kocom na każdem łóżku, a szczególnie wspaniałemu powietrzu, które inaczej krew ożywia i pędzi ją po ciele. To też wstajemy wypoczęci i z dobrą otuchą, tem bardziej, że gwiazdy na niebie mówią nam o pogodzie. Około godziny $5^1/_2$, przypiąwszy narty dla bezpieczeństwa, wyruszamy przy latarniach wprost przez Morskie Oko ku ścieżce do Czarnego Stawu, i wspinając się po zawalonej śniegiem grobli, stajemy nad Czarnym Stawem, gdy już światło dzienne pozwala nam zgasić i złożyć latarnie.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

Za nami śnieżne pole, pod którem wiele tysięcy lat mające tajemnicze głębiny — przed nami takaż sama śniegowa przestrzeń z głębią wód, a dokoła niej świat wrogi: królestwo zimy. Zimno też i groza wieje od tych zwałów śniegu i od sterczących nad nim szronem i lodem oszadziałych martwych skał. Zwisające sople i zamarzłe ścieżki wodne mimowoli trwogę budzą na myśl, że trzeba będzie iść po nich, czepiać się ich i wspinać wciąż i wciąż, tu stąd, z wysokości 1585 m. jeszcze wielekroć wyżej niż najwyższe wieże kościołów.

Na razie jednak droga wydaje się mniej niebezpieczna, a więcej uciążliwa. Przeszedłszy przez Czarny Staw zaczynamy się znów wspinać po stromym śniegu, tak sypkim, że stopy opierają się dopiero o twarde podłoże zlodowaciałej skały. Śnieg ten sięga jednak miejscami prawie do pasa i z ciężkim trudem toruje nam przewodnik drogę, którą jednak sypki śnieg w części zasypuje, tak, że i my z księdzem ciężko pracować musimy. Nogi ślizgają się pod śniegiem i musimy założyć „reczki". Od czasu do czasu „duchamy", poczem następuje dalsza praca, wstrzymujemy się jednak od spoglądania za siebie, aby potem naraz użyć wspaniałego widoku.

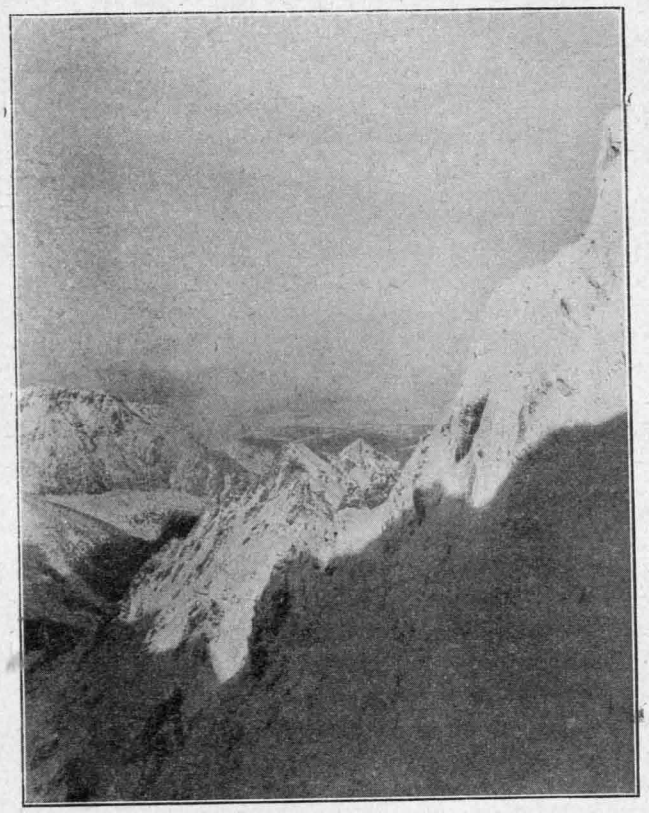

WIDOK Z RYSÓW KU DOLINIE RYBIEGO POTOKU *fot. B. Łazarski.*

Na jednym takim przestanku przewodnik nasz wyrzuca całą piersią okrzyk, który odbijając się o skały ginie gdzieś w oddali — dostaje jednak za to upomnienie od ks. G., że zbudzić może lawinę, która teraz, gdy zbliżać zaczynamy się do zbiegu żlebów pod „Grzędą", mogła nas zmieść w jednej chwili i pogrzebać na zawsze.

Pod tą wiszącą nad nami groźbą prujemy śnieg dalej w milczeniu. Oddech ciężko się wydobywa, pulsa tętnią jak młoty, z czoła pot kroplami ścieka, a dłoń rozpalona przez rękawice topi śnieg, którym od stóp do głów jesteśmy ubrani i rękawice nasycają się wkrótce wilgocią. Wreszcie i przewodnik, idący dotąd na przodzie, traci zupełnie siły i przysiada na śniegu, prosząc mnie, który szedłem trzeci w szeregu, czybym go nie mógł zastąpić. Przerzynam się tedy naprzód i zaczynam prowadzić. Wbijam czekan w śnieg przed sobą i opierając się na nim, obiema rękoma, ciągnę się do góry, torując kolanami wyłom w śniegu. Po kilku minutach takiej pracy, dostaję zawrotu głowy i sądzę, że dalej iść nie zdołam. Pokonywam się jednak, pcham się automatycznie dalej i wyżej, i gdy po dłuższym czasie przeciągu stajemy i oglądamy się, pokazuje się, żeśmy się spory kawałek podnieśli w górę.

Pewnego zadowolenia doznajemy, mijając złowróżbny zbieg żlebów, i gdy dostajemy s do grzędy — połowa drogi skończona.

Połowa!—tymczasem jednak trzeba pomyśleć o posiłku, trzeba nabrać sił, których tak wiele jeszcze potrzeba, bo wznieśliśmy się ponad Czarny Staw około 470 m., a jeszcze prawie taką samą wysokość w trudniejszych warunkach zdobyć mamy.

Przystajemy więc i przedewszystkiem w cichej kontemplacyi spoglądamy z wysokości 2060 m. ku dolinie Rybiego Potoku, na dymiące oparami turnie Miedzianego, na siniejące w dali śnieżne pola i granatowe lasy doliny nowotarskiej — ja zaś wydobywam aparat, aby w stereoskopowem zdjęciu zaczarować nazawsze nastrój niezapomnianego widoku.

Wypoczynek i posiłek nie trwają długo, bo obawiamy się, że na dotarcie do szczytu dnia może nie starczyć. Opuszczamy jednak na razie żleb, tak śniegiem zawalony, że przedrzeć się nim nie sposób, i wdzieramy się na zlodowaciałą grań grzędy. Niema czasu jednak wiązać się liną—wdzieramy się jak możemy po skorupie lodowej, chwytając się zębami raczków, które mamy pod obuwiem, a i ostrzem czekana każdej wklęsłości i szczeliny lodowej. Niebezpieczeństwo zaczyna grać na nerwach i gasić szybciej pozostałe siły, mimo to wdzieramy się prędzej po twardym lodzie. Znów jednak w żleb musimy się spuścić, trzymając się jego le-

http://sbc.wbp.kielce.pl/

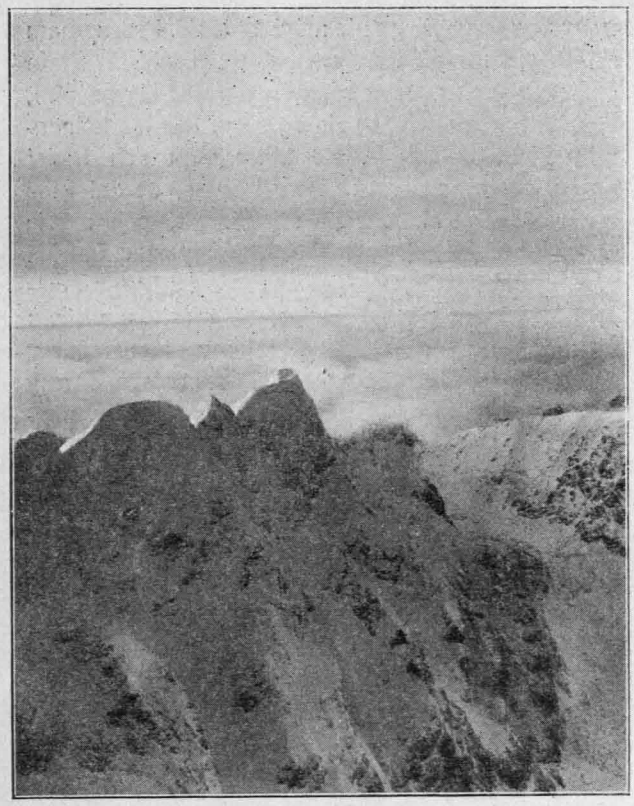

WIDOK Z RYSÓW KU ZACHODOWI MIĘGUSZOWIECKIE TURNIE *fot. B. Łazarski*

wego zbocza — znów brniemy przez śnieg i zmieniamy się z przewodnikiem, oczy mając w cel nasz utkwione, który zbliża się ku nam powoli ale statecznie,—aż wreszcie docieramy do stromej ściany szczytu, którą obchodzimy głównym żlebem i docieramy do przełęczy.

Stanęliśmy w krytycznym punkcie drogi. Od szczytu oddziela nas kilkadziesiąt tylko metrów, które w lecie przy pomocy klamer przebywa się w kilkanaście minut. Teraz jednak wszystko pokryte lodem i śniegiem i śladu żelaza dojrzeć nie można. Tu już bez liny obejść się nie możemy — byłoby to wprost niesłychaną lekkomyślnością. Zatrzymujemy się więc nad niebezpieczną przewieszką śniegową, która nawiana nad przepaścistą ścianą wydaje się wygodną ławką, trącona czekanem spada jednak w pyle w niewidzialną głębinę.

Ks. G. wydobywa swój „termofor", aby pokrzepić nasze siły bulionem z żółtkami, który jeszcze gorący do tego czasu się przechował.

Jest to dla nas uczta nad uczty, bośmy dotąd tylko napół zlodowaciałą czarną kawą palące pragnienie gasili i siły podsycali. Ks. G. zdejmuje jednak przy tem niebacznie rękawice i potem napowrót wdziać ich nie może... Mroźny wiatr w jednej chwili zamienia je w bryły lodu.

Wiążemy się liną i na komendę ks. G. worki mamy zostawić na przełęczy. Wydaje się bowiem szaleństwem brać ciężar na tak ryzykowne przejście. Mimo to nie chcę się dać nakłonić, abym zostawił worek, a z nim aparat, i gdy Wawrytce udało się przejść przez punkt najniebezpieczniejszy, apeluję do niego i z workiem na plecach, trzymając się liny, przechodzę i ja do Wawrytki, poczem obaj opierając się silnie o skałę asekurujemy wdzierającego się ks. G. W ten sam sposób idziemy dalej. Obok nas głazy pokryte dziwnej formacyi lodem. Składa on się jak gdyby z łusek, które pod dotknięciem z szelestem rozsypują się; śnieg wskutek erozyi wiatru wygląda jakby jaka alabastrowa zastygła lawa, błyszcząca na szczytach spiętrzonych fal. W koło jakby świat zaczarowany — wymarzony. Tak fantazya przedstawia sobie okolice podbiegunowe, tylko że tu jesteśmy wysoko ponad ziemskiem życiem, bo oto stanęliśmy na szczycie—na wzniesieniu 2503 m. Jest godzina $3^1/_4$, słońce, chyląc się ku zachodowi, roztacza już wieczorne zorze, które pomarańczowym pasem oddzielają fiolety oparów ziemi od seledynowego nieba. Na wschodzie potężny trzon Lodowego łączy się z Łomnicą i z niesłychaną potęgą zda się wzbijać pod niebo nad zalewające go od wschodu fale mgły. Straszne przepaście oddzielają nas od potężnych olbrzymów — zaściełać je zaczynają głębokie cienie, w których oko i myśl toną ze zgrozą.

Za to cudowny widok ku zachodowi. Pomiędzy

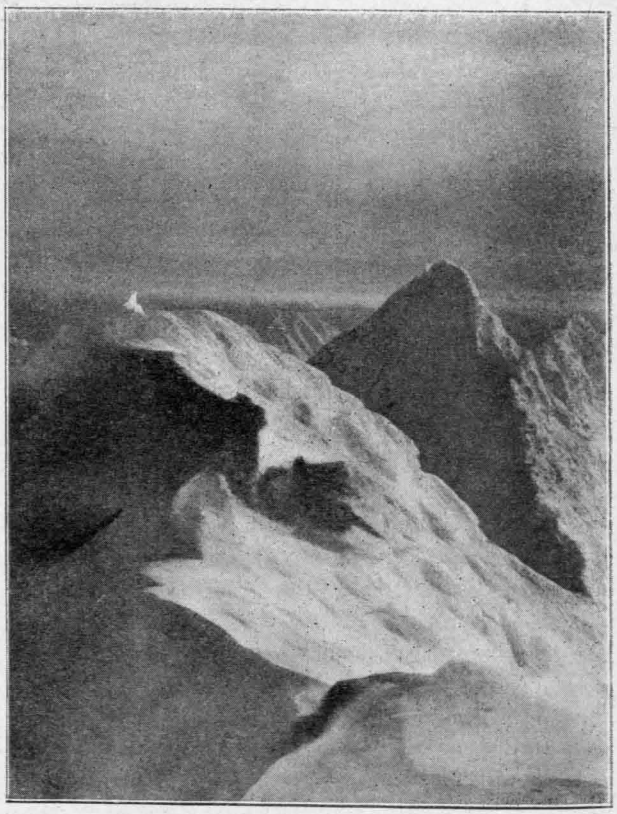

WYSOKA Z RYSÓW *fot. B. Łazarski.*

http://sbc.wbp.kielce.pl/

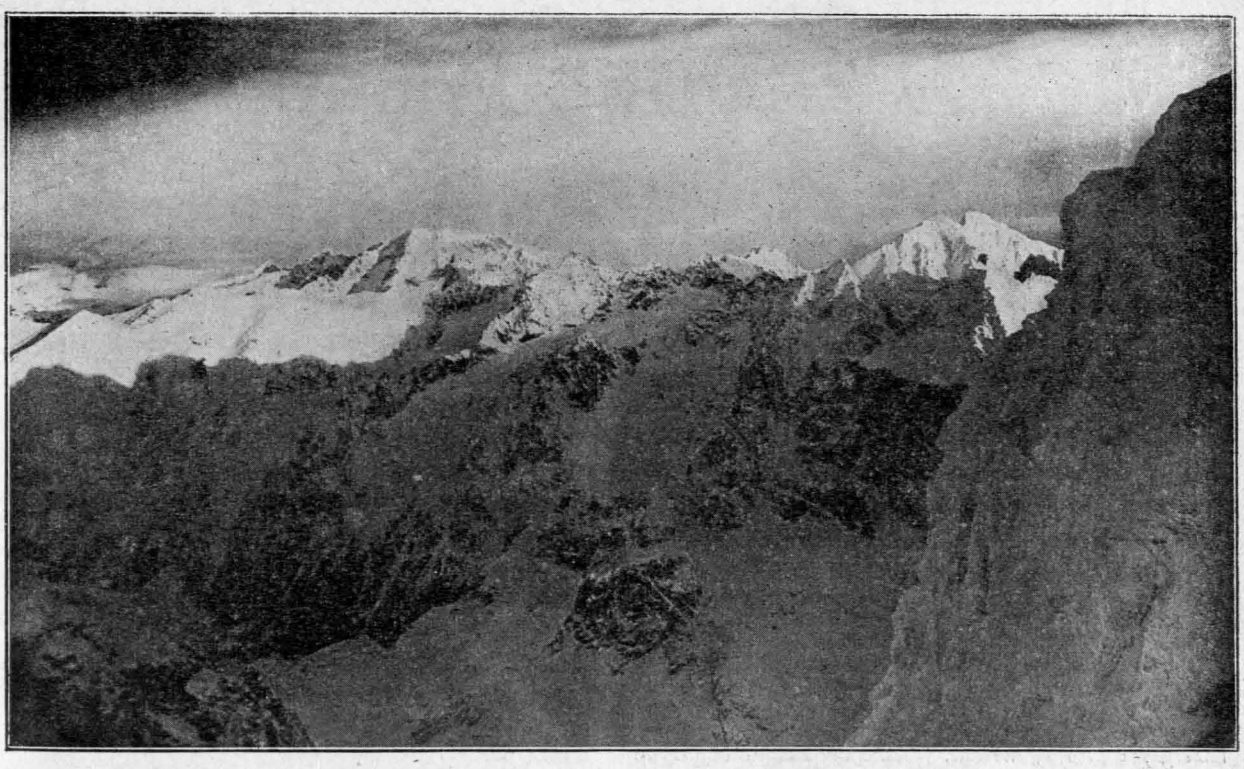

WIDOK Z RYSÓW KU WSCHODOWI *fot. B. Łazarski.*

grzbietami górskimi, pomiędzy śnieżnymi szczytami całe pole chmurek ozłocone słońcem, którego strzały rażąc oczy, potęgują złudzenie, że rozciąga się pod stopami jakaś lekko sfalowana równina, po której przejdziesz na drugi szczyt—i trzeci—i ten ostatni—Krywań.

Wszystko to błyszczy, promienieje, wyrzuca połyski i gra dziwną mieszaniną barw zimnych i gorących. Zwracamy się ku południowi. Przed nami królowa turni tatrzańskich: Wysoka. Szlachetnym swym kształtem i nieskalaną bielą ściąga oczy ku sobie — najpiękniejsza;—wobec niej ginie nawet majestatyczny szczyt Gierlachowski.

Chłonę cały obraz w siebie, chwytając go równocześnie na płyty fotograficzne. Trzeba się jednak śpieszyć. Nietylko zbliżająca się noc, ale i towarzysze przypominają mi to, zajętemu zdjęciami. Mróz taki dotkliwy, że nie mogę ustać na miejscu, i tylko gorączka fotograficzna dozwala mi ku podziwowi Wawrytki operować metalowemi kasetami i wykonać 3 zdjęcia. Czwartego już niestety nie mogę dokonać. Ks. G. z naciskiem żąda, aby powracać, bo grozi nam noc i zmarznięcie i po godzinie $3^1/_2$ zaczyna się schodzenie. Z początku idziemy w podobny sposób, ubezpieczając się liną, a gdyśmy dotarli do przełęczy, skąd ks. G. i Wawrytko zabrali swe worki, probujemy po śniegu zjeżdżać głównym żlebem. Stromy żleb przepuszcza nas szybko, poniżej jednak jazda nie idzie tak łatwo. Zamiast bowiem sunąć po wierzchu, zagrzebujemy się prawie po szyję w sypkim śniegu i jedziemy wprawdzie, ale nie sami. Sunie także cała masa śniegu, ktróa byłaby pewnie, gdybyśmy się wczas nie spostrzegli,—dała początek lawinie i runęła w dół, grzebiąc nas niezmierną swą masą.

Idziemy więc już w dół nie probując jazdy, i odczuwamy w stosunku do temperatury na szczycie przyjemne ciepło, chociaż ja mam naprz. śnieg topniejący na plecach pod koszulą. Im niżej się spuszczamy, tem cieplej się wydaje; stajemy nad Czarnym Stawem o zmroku, i przeszedłszy go, z latarniami spuszczamy się po grobli do Morskiego Oka. Przechodzimy je swobodnie, choć tonie odczuwamy pod nogami, uważając tylko, by nie wpaść w którą z przerębli dr. Sawickiego. Cisza w powietrzu, które takie jakieś ciepłe z lubością wchłaniamy w nasze zmęczone płuca. Jeszcze jeden wysiłek — wdzieramy się po ślizkiej spadzistej ścieżce od jeziora do schroniska. Godzina $6^1/_2$—ktoś z nas rzuca okiem na termometr — jest 10^0 C. poniżej zera.

W schronisku witają nas serdecznie, i dowiadujemy się, że przez cały dzień śledzono z werandy przy pomocy lornetek nasze wdzieranie się na szczyt.

Bolesław Łazarski.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

U ŹRÓDEŁ WISŁY. [1])

CHARAKTER GÓR.

Gmina Wisła rozłożyła się wielkim, nieregulanym czworobokiem w Beskidach Zachodnich, stanowiących jakby przedłużenie Karpat Zachodnich, galicyjskich, u źródłowisk Wisły, zajmując obszar około 3 mil kw. czyli mniej więcej 150 klm. kwadratowych.

Cały ten obszar, zarówno jak dalsze okolice, aż do Tatr wysokich jest pokryty pasmami górskiemi. Beskid Zachodni nie posiada jednak znacznej wysokości; średnia wysokość szczytów tutejszych wynosi około tysiąca metrów nad poziom morza. Najwyższa jest Babia góra (1725 m.), ale od niej do Wisły daleko, nie moża ona przeto wchodzić w zakres wycieczek dla osób bawiących tutaj. Najbliższe góry wznoszą się mniej więcej do tysiąca metrów, są więc dostatecznie wysokie, żeby dawać rozległy i piękny widok, posiadają zaś nieocenione zalety dla tych, co dla jakichkolwiek powodów nie mogą wdzierać się na strome pochyłości i na znaczne wysokości.

Obfitość za to ścieżek i ta okoliczność, że w górach mieszkają, nawet na znacznej wysokości, górale, pozwalają w razie zabłądzenia zapytać o drogę, albo też szukać schronienia podczas burzy.

Trzeba tylko pamiętać o tem, że podczas deszczu trawa staje się bardzo śliska, podczas zaś upałów, kiedy mchy leśne i igliwie wyschną, także łatwo się na nich poślizgnąć i upaść na ostry kamień. Trzewiki o grubej podeszwie i nieprzemakalne są nieodzowne.

Góry wiślańskie są przeważnie porosłe gęstymi, dobrze zagospodarowanymi lasami iglastymi i liściastymi — bukowymi. Lasy te, należące do arcyksięcia Fryderyka, bratanka cesarza Franciszka, są dla każdego dostępne, pod warunkiem, żeby nie płoszyć i nie niepokoić w jakikolwiek sposób zwierzyny. Powietrze w tych okolicach odznacza się przedziwną czystością i balsamiczną wonią. Na polanach pomiędzy lasami rośnie soczysta trawa, dostarczająca paszy dla licznych krów i owiec. Górale sprzątają tutaj siano, jeszcze bardziej podnosząc aromat powietrza na wiosnę w czerwcu czy lipcu i na jesieni we wrześniu.

Ta dostępność gór tutejszych w połączeniu z obfitością lasów daje Wiśle prawo pierwszeństwa przed wszystkiemi letniskami górskiemi na równinach położonemi.

Wody także tu nie brak i to doskonałej. Co kilkaset kroków widzimy albo słyszymy maleńki strumyk szemrzący w trawie czy po kamieniach. Na wycieczkach napotykamy liczne źródełka, z których śmiało można gasić pragnienie, bo woda jest nietylko bardzo smaczna, chłodna, ale i zdrowa, czysta.

Wchodząc na jakąś górę, widzimy, jak okoliczne wyniosłości kładą się coraz bardziej pod nasze stopy, aż nareszcie równamy się z ich szczytami. Na każdym kroku przytem odsłaniają się zdumionemu wzrokowi nowe krajobrazy, jedne piękniejsze od drugich. Powinniśmy pamiętać zawsze o tem, że najbardziej malownicze widoki mamy z gór średniej wysokości. Przedmioty widziane z odległości niezbyt znacznej nie maleją jeszcze tak, jak wtedy, gdy je oglądamy ze szczytu bardzo wzniesionego, nie ustępują na trzeci plan. Z wysokich wierzchołków takiej Czantoryi, np. ze Stożka Wielkiego, z Baraniej, można się zachwycać rozległemi panoramami, bezmiarem przestrzeni, błądzić okiem po morzu stalowem, pobrużdżonem głęboko dolinami, przysłoniętem mgłą. Z niższych zaś szczytów, jak Kamienny, Bukowa, Wyrch Skalnity i t. d., zamiast panoram oglądamy urocze krajobrazy, które pod względem malarskim stoją daleko wyżej. Dobrze więc uczynimy, rozpoczynając nasze wycieczki od gór niższych; raz dla tego, że tam znajdziemy daleko więcej widoków, powtóre zaś dlatego, że powoli przywykamy do wdzierania się na spadzistości, nabieramy wprawy w chodzeniu i wytrwałości.

Jedną z najpiękniejszych wycieczek jest wycieczka na górę K a m i e n n y, sięgającą pokaźnej wysokości 790 m.

N a K a m i e n n y można się dostać kilkoma rozmaitymi drogami: najłatwiejsza, najmniej uciążliwa droga prowadzi przez willę „Warszawa", przez pastwiska, potem przez ładną drogę leśną, dobrze zachowaną, która dawniej wiodła do kamieniołomów, dziś już zarzuconych. Od kamieniołomów, przez lasek dziesięć minut zaledwie od szczytu.

Druga droga, znaczona niebieskimi znakami przez Beskiden Verein, zaczyna się tuż koło willi „Koliba", idzie najprzód przez górkę Jarzembatą, z której piękny widok na całą dolinę Wisły, na wieś, na kościoły i na wille, dalej pastwiskami dostajemy się do lasku bukowego, stamtąd zaś na szczyt.

Droga ta jest jednak więcej przykra, aniżeli pierwsza, posiada za to daleko więcej widoków. Z Kamiennego widzimy jeszcze raz dolinę Wisły i wieś. ale już silnie zmniejszoną z powodu większej odległości: panorama jest dość rozległa, widać stąd Stożek wielki, Wyrch Skalnity, Magórkę, Baranią, ku północy zaś Klimczok i miasteczko

http://sbc.wbp.kielce.pl/

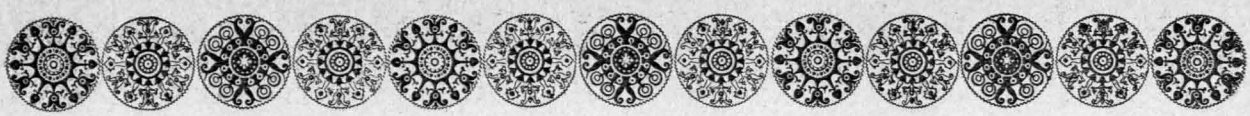

Skoczów. W głębi doliny ku południowemu wschodowi błyszczy w słońcu wstęga Wisły i jej dopływy. Jeżeli wracamy w kierunku Bokowej przez wyższe polany, i potem lasem, do potoku Pinkasów, to możemy zboczyć jeszcze bardziej na prawo, do doliny Tokarni i dojść przez Dobkę do szosy, prowadzącej z Ustronia do wsi. W ten sposób robimy odrazu dwie wycieczki.

Na wycieczkę do szczytu Kamiennego trzeba wszystkiego 3 godziny czasu. Idąc przez Ustroń pięć godzin co najwyżej z małym odpoczynkiem.

(CDN) *Władysław Umiński.*

Japonia i japończycy. (7)

Kilka wrażeń i rozmyślań z podróży na Daleki Wschód.

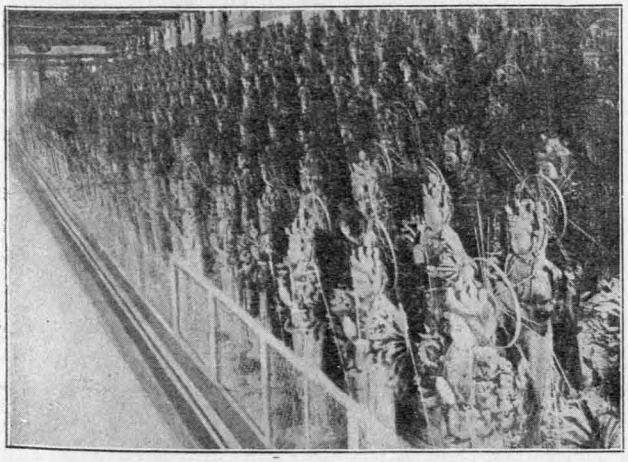

TYSIĄC POSĄGÓW BOGIN ŁASKI—KWAN-NON W KIOTO.

Taką gorączkową ale planową działalność rozwijają japończycy we wszystkich kierunkach, a suma i skutki tej pracy ujawniają się najwymowniej w stosunkach handlowych, a zwłaszcza w obrotach morskich. W tym kierunku predestynowała przyroda japończyka na zwycięzcę we wszystkich współzawodach. Gdzież naród, który jak japończycy rozporządza flotyllą rybacką, liczącą niespełna pół miliona łodzi , który jałowością i ciasnotą gleby nękany śle dwa i pół miliona ludzi, by w walce z prądami i zawieruchą, przewijając się na czółnie między groźne rafy, wyrwali morzu to, czego im poskąpiła ziemia?

Dla narodu jednak, który w takiej szkole życia dojrzał, jest wszelka praca czy walka na morzu igraszką. Potrzeba było floty handlowej, więc się temu zadość stało, a stało się też w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Pojemność japońskiej floty handl.	1899	1908
typu europejskiego wynosiła	618	1481
tysięcy tonn.		

Rozwój jednak floty japońskiej jakkolwiek imponujący i bezprzykładny nie wytrzymuje jednak żadnego porównania z rozwojem sprawności i obrotności tejże floty. Obrót towarów na wybrzeżach japońskich wzrósł w latach 1899—1907 przeszło sześciokrotnie, a udział floty japońskiej w tej robocie wzrósł z górą dziesięciokrotnie! Handel morski Japonii przybrał dziś takie sozmiary, że tylko jedna wobec niego pozortała potęga; inne, głośne są Japonii niemal rówieśnikami.

Handel Japonii, w którym ona takie roztacza blaski, to już jawna, choć bezkrwawa i z formami międzynarodowej uprzejmości prowadzona walka. Zamiast wywodów niech znowu mówią wymowniejsze cyfry. Japoński obrót handlowy z Chinami wzrósł w ostatnich ośmiu latach o 327 procent, z resztą Azyi o 337 procent, z koloniami angielskiemi w Azyi tylko o 123 procent. A wzrost handlu z koloniami angielskiemi istotnie w latach 90-tych szalony spowodował popłoch i akcyę ratunkową, która, jak uczą przykłady, na dalszą nie działała metę.

Dziś stan władania handlowego Europy sięga w Azyi tak daleko, jak daleko sięgają wpływy siły natury politycznej; reszta Azyi oddała sie duchowo i materyalnie Japonii.

Ale europejczyk jest niepoprawny. W chwili, gdy się rodził i na świat wyjrzał, uznał swym niedoświadczonym umysłem i słabo zaprawionymi zmysłami, że ziemia jest płaska, że on—człowiek,

http://sbc.wbp.kielce.pl/

jest środkiem ziemi i całego wszechświatu, że jego czyny są przedmiotem historyi powszechnej. A choć później europejczyk wzniósł się wyżej, patrzał dalej i, ogarniając wzrokiem całe koryto Medyteranu, orzekł, że ziemia jest szeroka od południa ku północy, a długa od zachodu ku wschodowi, nie przestał tkwić w swym błędzie, że ziemia dla europejczyka, że poza nim nikt nie tworzy. Gdy w ciągu historyi poznał jeden, drugi i liczne swoje błędy, do nich się nie przyznawał... historya powszechna to jego dzieje, więc Amerykę odkrył tylko europejczyk! Ducha myślącego, twórczego, odkrywającego nie masz poza Europą! A jeśli z biegiem wieków „odkrył" europejczyk zbyt wiele swoich błędów, gdy poznał, że ziemia jest kulą, na której się roi od narodów wielkich, możnych i twórczych, rozpoczął je badać i przyszedł do przekonania, zbliżonego do myśli, którą począł już w kolebce, że narody są różnowartościowe, a najdoskonalszym ich przedstawicielem jest on właśnie-europejczyk. Tę prawdę, która w historyi powszechnej do tej pory innem „odkryciem" nie została zaprzeczona, popiera europejczyk dwoma argumentami. Jeden z nich jest natury historycznej, drugi geograficznej. Wszak historya wykazała, że ilekroć narody zamorskie dzięki europejskiemu odkryciu weszły w kontakt z Europą, uległy jej; czyż to nie oczywisty dowód większej siły duchowej?. Podczas gdy jednak żaden naród nie stawił Europie skutecznie czoła, podczas gdy wiele z odkrytych przez Europę narodów na skutek zetknięcia się z tą potęgą znikło z powierzchni ziemi, na te same pustkowie przesiedlony europejczyk stał się natomiast jedynym niebezpiecznym dla Europy wrogiem; potęga jest przyrodzoną właściwością tylko europejczyka!

Argument geograficzny miał tę prawdę i proce historyczny uzasadnić. Nic łatwiejszego! wszak kula ziemska dzieli się ze względu na rozmieszczenie lądów i mórz na siedzibę rodu ludzkiego, przeważnie lądową półkulę północno-wschodnią i pustą morską półkulę południowo zachodnią. Wieńcem lądów otoczona króluje w środku Europa, wyzyskująca i świadoma swego centralnego położenia, z którem żadna inna część świata się mierzyć nie może, jeśli chodzi o władztwo nad lądami; w samym zaś biegunie półkuli lądowej położona Anglia spełnić miała tę rolę nad zamorskimi lądami, jaką ongi spełnił Rzym, położony na centralnej baryerze Medyteranu w chwili, gdy medyterańskiemu europejczykowi się zdawało, że świat jest płaską, długą a szeroką tarczą.

I trudno zaprzeczyć pewnego związku przyczynowego między geograficznem położeniem Europy a jej rolą historyczną. Ale rozzuchwaleni dziedzice antropocentrycznego systemu helenów starożytnych, rozszerzywszy swe apetyty na całą kulę ziemską, którą umysłem ogarnęli, zapomnieli, że kula z dwu półkul, lądowej i morskiej się składa.

W tym jednak układzie lądów korzyści, wynikające z centralnego położenia Anglii czy Europy muszą słabnąć w miarę powiększającej się odległości od środka, a niknąć zupełnie na obwodzie, oddzielającym półkulę lądową od morskiej. Na tym to obwodzie, na tej linii krytycznej politycznie i kulturalnie lub w jej pobliżu leżą zachodnie krainy obu Ameryk, Afryka południowa, długa linia archipelagu japońskiego poza tym obwodem, w środku półkuli morskiej leży Australia, wszystko to terytorya, geograficzne ukwalifikowane do wytworzenia samoistnych ognisk historyi powszechnej. Myśli tej dalej snuć nie będę, powiodłaby mię za daleko, zadowolnię się postawieniem wniosku, że obok atlantyckiego istnieje na kuli ziemskiej wielkie pacyficzne boisko historyczne. Na boisku atlantyckiem rozegrała się historya powszechna w sensie europejskim, a na horyzoncie tej historyi mroczy się widmo walki o Atlantyk między Europą a Ameryką. Na boisku pacyficznem tworzyły się różne ogniska historyczne, Azteków, Inkasów, wielkie wreszcie i prastare ognisko wschodnio-azyatyckie. Potężny, 3000 km. długi wieniec wysp japońskich, oblany, więc osłonięty z jednej strony bezdnią największego oceanu, opasuje wschodnio-azyatyckie ognisko ze wszech stron, korzysta ze wszystkich jego dobrodziejstw kultury, unika wszelkich klęsk kontynentalnej zawieruchy... Japonia, a Anglia!

W europejskiem pojęciu historyi powszechnej, w poczuciu Europy do władztwa nad światem leżał zaród największego istotnie powszechno-historycznego konfliktu, czeka najbliższą przyszłość nieunikniona walka o Pacyfik.

Nie wątpię ani chwili, że w wielkiem tem zmaganiu się ognisk historycznych ze względu na silnie wykształcony indywidualizm chiński kierownictwo walki obejmie na czas dłuższy Japonia, Europa zaś w następstwie co najmniej chińskiego zindywidualizowania swych społeczeństw, a przedewszystkiem z powodu odległości od pola walki, jeśli w niej nie ulegnie, to wyjdzie silnie osłabiona.

Narody małe, które w międzynarodowym, europejskim wyścigu ekonomicznym, nie zdołały odegrać znamienniejszej roli, a zwłaszcza narody, które nie miały europejskiej kulturze właściwego ducha zaborczego, które mają swe posady w Europie, jej więc najpierwej uległy, narody, które w zaciszu swej pogwałconej ojcowizny roją nowe idee i marzenia przyszłości, te narody w osłabionej Europie odżyją.

Tak więc małym i uciśnionym świta już po raz wtóry—ex Oriente lux!

———

http://sbc.wbp.kielce.pl/

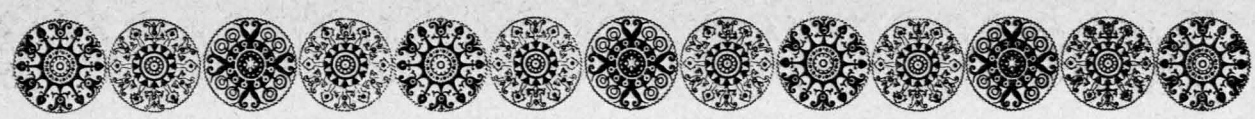

W szkicu tym, na który się złożyły przedewszystkiem własne spostrzeżenia i wrażenia, posługiwałem się między innemi głównie następującą literaturą.

Archibald Little. The Far East. Oxford. 1905.

Henry Dyer. Japan in World Politics. London. 1909.

John Murray. Handbook of Japan. VIII Edition. London. 1907.

Y. Takenob a K. Kawakami. The Japan Yeer Book for 1910. Tokyo-London.

L. Richard. Comprehensive Geography of the Chinese Empire. Shanghai. 1908.

Statistical abstract for the several Britisch Colonies etc. f. Y. 1891—1905. London. 1906.

Ściślej geograficzne wrażenia z odbytej podróży ogłosiłem pod tytułem: „Flüchtige Reiseeindrücke aus dem Innern und von den Rändern Asiens" Mitteilungen geogr. Gesellschaft w Wiedniu 1911. zeszyt 1—5.

Dr. Eugeniusz Romer.

Ze skarbów naszej przyrody. 18

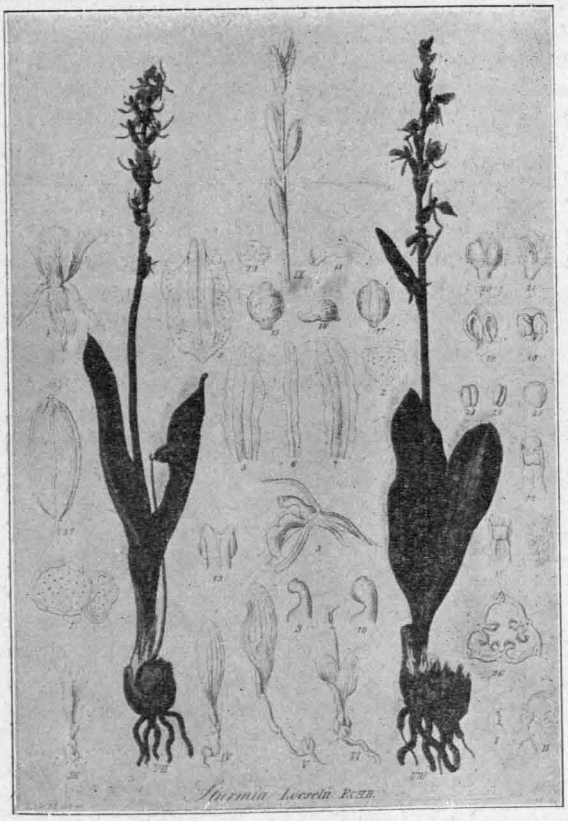

15.

Liparis Loeselii Rich.

Lipiennik Loesela.

Łodyga zmieniona, w formie cebulki gąbczastej, opatrzonej łuskami żółto-zielonemi—wydaje ze siebie od spodu korzonki, od góry zaś łodygę, słabą, kanciasto-okrągłą, przeważnie dwoma jajowato-lancetowatymi liśćmi zaopatrzoną. Przykwiatki małe. Listki okwiatu lancetowate, tępe; warżka również tępa, przewrócona, często z 2 bocznemi wycięciami, delikatnie karbowana. Ostrogi brak. Cała roślina barwy żółtawo-zielonej.

Kwitnie w lipcu.

Ze starszych autorów podają go: Jastrzębowski koło Zamościa, Konina, Buska; Waga w pow. gostyńskim; Karo — koło Siedlec. Z nowszych autorów nikt tych stanowisk nie potwierdza.

K. Sztejnbok.

□□□□□□□□□□

Listy do Redakcyi.

I.

Szanowna Redakcyo!

Odnośnie do artykułu „Ze skarbów naszej przyrody" (№ „Ziemi" 21 r. 1911 str. 333) donoszę, że: Buławnik wielkokwiatowy znalazłem w r. 1897 w miesiącu maju na Łysej górze (419 m) w dobrach Krzeszowicach hr. Potockich.

Łysa góra położona jest pod 50° 8′ północnej szer. a 37° 20′ wschodniej długości — leży mniej więcej pośrodku miejscowości: Dubie, Siedlce, Żbik, Czatkowice, Czerna, Dębnik, Żary, niedaleko granicy Król. Polskiego, gub. kieleckiej, miejscowości Racławice i Szklary.

W Galicyi kwitnie roślina ta widocznie wcześniej niż w Królestwie Pol., gdzie p. K. Sztejnbok podaje jako kwitnącą w czerwcu.

Z wysokiem poważaniem

Dr. Ferdynand Wilkosz.

II.

Otrzymaliśmy od członka korespondenta Tow. Krajoznawczego p. Bohdana Bielińskiego z Korostenia (Iskorość) na Wołyniu następujące informacye.

Różanecznik ludność rusińska nazywa niekiedy *bahunem* (gdzieindziej — na Podlasiu, w Suwalszczy-

http://sbc.wbp.kielce.pl/

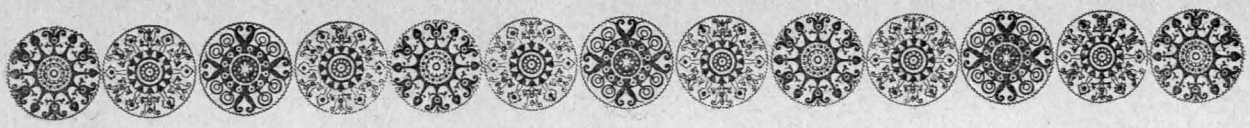

źnie *bahunem* zwą *bagno* Ledum palustre), ludność zaś polska *bagienkiem*.

Zauważono że „bagienko w wielu miejscowościach zakreślonych kołem przez p. Hryniewieckiego już się nie znajduje. W okolicach Żytomierza i Pulin niema go. Przy trakcie z Żytomierza do Owrucza, jak również w pasie od traktu tego w lewo i prawo 10 wiorst szerokim niema go wcale. P. Hryniewiecki wspomina że bagienko rośnie w Ośnikach, a ś. p. R. Sobkiewicz widział ten krzew w Skołubowie;— są to 2 miejsca najbliżej leżące Żytomierza.

Prawdopodobnie było to przed kilkudziesięciu laty i ludzie karczując lasy i bagienko wycięli. Zauważyć można, że bagienko rośnie tylko w okolicach lesistych. Czy w miejscu bezleśnem bagienko samo ginie, czy ludzie je trzebią, to nie zostało jeszcze wyjaśnione.

Na wschód od traktu, wiodącego z Żytomierza na północ,—do Owrucza—bagienka niema. Na zachód—granica bagienka zaczyna się od m. Uszomierza, gdzie rośnie w lasach. A ponieważ lasy te zostały wycięte i będą w krótkim czasie rozparcelowane pomiędzy włościan, więc i granica bagienka prawdopodobnie przesunie się dalej na zachód. Od Uszomierza na zachód t. j. ku Rokitnie ilość tych krzewów wzrasta.

W okolicy Iskorości lasy przed kilkadziesięciu laty zostały wycięte i bagienka nigdzie spotkać nie można miejscowi włościanie również go tu nie znają".

□□□□□□□□□□□□□□

Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.

Jak potrzebny i pożądany był Oddział w Zagłębiu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, wnioskować można z rozwoju i ożywionej działalności tegorocznego Zarządu. Po zmianach, zaszłych z powodu rezygnacyi niektórych członków Zarządu obecnie prezydyum składa się z prezesa p. A. Sujkowskiego, viceprezesów B. Jasińskiego i J. Drzewieckiego, sekretarza W. Wolińskiego, zastępcy E. Komaniewskiego, skarbnika A. Ujazdowskiego, zastępcy W. Wasilkowskiej, kustosza S. Strzeszewskiego. Zarząd zatem składa się z 6 członków, 6 zastępców i 7 przedstawicieli sekcyi: wycieczkowej, fotograficznej, statystycznej, przyrodniczej, popularyzacyi krajoznawstwa, odczytowej i dochodów niestałych.

Wynajęty został tymczasowy lokal na biuro Towarzystwa w Sosnowcu przy ulicy Głównej Nr. 14.

W roku bieżącym dotąd przybyło 160 nowych członków; do kasy wpłynęło około 900 rubli, z czego wydatkowano około 650.

Kustosz pracuje nad skompletowaniem i uporządkowaniem zbiorów geologicznych Muzeum Oddziału. Zainicyowano urządzenie w Sosnowcu stacyi pluviometrycznej, a sprawa wydania monografii Zagłębia z mapą powoli lecz stale posuwa się naprzód. Zarząd zajmuje się głównie sprawami administracyjnemi, najżywotniejsza zaś działalność przejawia się w sekcyach, w których pracuje znaczna część członków Zarządu.

Sekcya wycieczkowa w czerwcu urządziła następujące wycieczki: w d. 4 i 5 czerwca na wystawę do Włocławka i do Ciechocinka, wzięło udział 9 osób, prowadził p. J. Drzewiecki. Wycieczka, powitana na stacyi przez p. Olszakowskiego, udała się na wystawę, gdzie spotkała wycieczkę Oddziału Łódzkiego. Po zwiedzeniu wystawy nastąpił wspólny obiad, podczas którego kierownik wycieczki w krótkiem przemówieniu podkreślił znaczenie wystawy i zasługę Oddziału Kujawskiego dla krajoznawstwa, oraz zaprosił Oddziały do zwiedzenia tak ciekawego pod wieloma względami Zagłębia. Po obiedzie zwiedzono katedrę, seminaryum z bogatymi zbiorami, park, oraz most na Wiśle. Po przenocowaniu wyjechano do Ciechocinka, gdzie zwiedzono łazienki, tężnie i warzelnie soli. Wieczorem wycieczka wyjechała z powrotem.

W tymże terminie wyruszyła z Zagłębia druga wycieczka górników z Saturna do Warszawy; osób 47 prowadziła p. Marya Drzewiecka; wycieczkowicze zwiedziwszy Stare Miasto, Bielany, teatr Nowości, zbiory T-wa Krajoznawczego, halle, wystawę obrazów, filtry, pałac w Łazienkach, Powązki, Wystawę Starej Warszawy i Dynasy, skorzystali z nader uprzejmej gościnności Centrali, za co

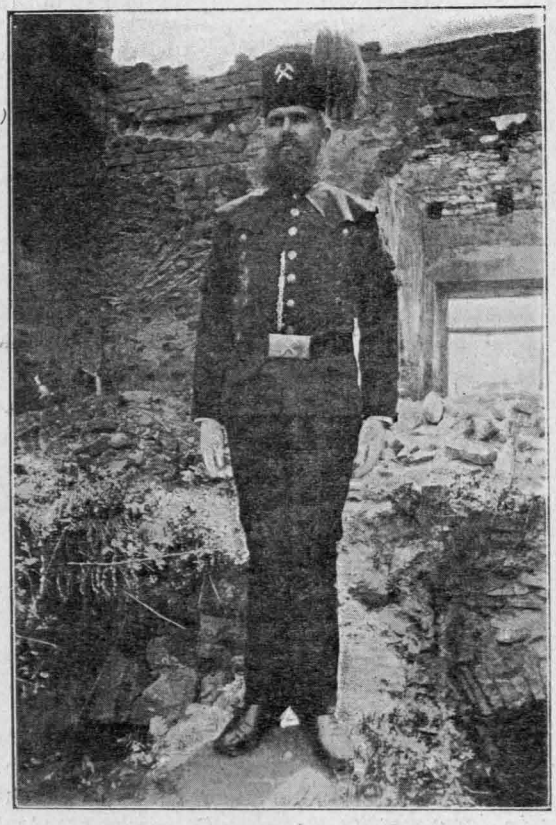

GÓRNIK W UNIFORMIE

http://sbc.wbp.kielce.pl/

są niezmiernie wdzięczni. Wycieczka ta zrobiła bardzo dodatnie wrażenie, szerząc zamiłowanie do idei krajoznawczej w sferach robotniczych.

W dniu 18 czerwca urządzona została wycieczka do Potoku Złotego wyłącznie dla robotników Wydziału Mechanicznego z kopalni Niemce. Osób 30 prowadził p. J. Drzewiecki. Zwiedzanie Potoku z pogadanką kierownika bardzo się podobało uczestnikom wycieczki, którzy poprosili zaraz o drugą podobną wycieczkę w najbliższym czasie. W przemówieniu swem jeden z uczestników wyraził hołd Towarzystwu, które nie szczędząc trudów szerzy tak wzniosłe idee, zachęcając ogół do wypełniania obowiązku poznawania własnego kraju.

W dniu 24 czerwca wyruszyła 10-dniowa wycieczka przeważnie uczniów Będzińskiej szkoły Handlowej w Łysogóry, do Sandomierza, Puław, Lublina, Kielc i Chęcin. Osób 40 prowadził p. Reichert.

25 czerwca urządzona została wycieczka do Krzeszowic i Czerny. Osób 67 prowadziła p. M. Drzewiecka. Dzięki uprzejmości Administracyi dobr. hr. Potockich zwiedzono park, ogrody, oranżeryę, stajnie, tor wyścigowy, obory, starą wozownię z pamiątkowymi pojazdami, łazienki siarczane i kościół, poczem udano się pieszo do Czerny dla zwiedzenia klasztoru karmelitów bosych, pustelni Firlejowej, mostu i doliny Eliasza. Wycieczka była podejmowana śniadaniem przez administracyę dobr hr. Potockich ze staropolską gościnnością za co, jak również za uprzejme objaśnienia Oddział składa serdeczne podziękowanie pp. Kriegseisenowi, Reichardowi, Pacucie, Wojtychowi i Sieprawskiemu.

Dnia 9 lipca wyruszono do Kamienicy Polskiej i Olsztyna. Osób 30 prowadził p. J. Drzewiecki. Dzięki uprzejmości zawiadowcy kopalni, p. Mianowskiego, wycieczka udała się kolejką konną do kopalni rudy żelaznej w Kamienicy. Po zwiedzeniu Kamienicy zapoznano się tu ze sposobem wybrabiania tkanin płóciennych i bawełnianych na domowych warsztatach tkackich. Ta niezmiernie korzystna dla mieszkańców Kamienicy kooperatywa tkacka istnieje zaledwie od roku i dzięki nieustającym wysiłkom prezesa związku, ks. Sędzimira, w roku bieżącym miała już 80,000 rb. obrotu przy 5,000 kapitału zakładowego. Wyrobu związku „Tkacz" konkurują z powodzeniem na rynkach w Królestwie i Cesarstwie z wyrobami najpoważniejszych fabryk, a gatunek ich został odznaczony na wystawie w Warszawie. Powołany do życia w tak trudnych warunkach przemysł domowy wywarł na wycieczkowiczach nader dodatnie wrażenie. Stamtąd udano się końmi do Olsztyna dla zwiedzenia ruin i groty, poczem powrócono do Sosnowca.

W dniu 30 czerwca Oddział przyjmował wycieczkę Szkoły Handlowej z Kalisza pod kierunkiem p. Bzowskiego. Ułatwiono jedynie zwiedzenie Huty Katarzyny i kopalni Milowic, gdyż zbyt krótki czas przeznaczony w programie dla Zagłębia, nie pozwolił na bardziej szczegółowe zwiedzanie. Po wspólnej herbacie delegaci Oddziału w osobach pp. Drzewieckich i Wasilkowskiej odprowadzili uczestników na stacyę, polecając się na przyszłość.

Projektowane są następujące wycieczki: 16, 17, i 18 lipca do Białowieży, 23 lipca do Sławkowa i okolic, 30 lipca do Rabsztyna, 13, 14 i 15 sierpnia do Ojcowa i 13, 14 i 15 sierpnia do Warszawy, 26, 27 i 28 sierpnia w Łysogóry, 8, 9 i 10 września Wisłą do Płocka, 24 września do Piotrkowa.

Sekcya fotograficzna, biorąc udział we wszystkich wycieczkach, gorliwie pracuje nad kolekcyonowaniem widoków, typów i krajobrazów, jak również zajmuje się wyrobem przezroczy, których jest już pokaźna liczba. Sekcya weźmie udział w projektowanej wystawie „Krajobraz Polski". W celu zachęcenia amatorów i zebrania jak największej liczby zdjęć sekcya ogłasza konkurs fotograficzny na warunkach niżej podanych (patrz Nr. 1).

Sekcya przyrodnicza ogłosiła 2 konkursy przyrodnicze dla uczącej się młodzieży (patrz Nr. 2).

Sekcya odczytowa w roku bieżącym urządziła 3 odczyty publiczne, zapraszając na prelegentów pp. Sawickiego, Romera i Wisznickiego. Wobec powodzenia, jakiem się cieszą w Zagłębiu odczyty krajoznawcze, na jesieni zamierzone jest urządzanie odczytów co 2 tygodnie. Prócz tego sekcya w czwartki urządza zebrania członków, na których wygłaszane są pogadanki. W roku bieżącym p. A. Sujkowski kontynuował o geografii ziem polskich, prócz tego wygłosili pogadanki p. d-r J. Młodowska o ptactwie przelotnem, p. Kozielski o wiośnie w przyrodzie, p. Warchoł o instynkcie u zwierząt, p. A. Piwowar o węglu, p. Telakowski o stylach w architekturze, p. Kaczyński o osadnictwie pierwotnem, p. Przesmycki o Jurze Krakowskiej, p. Drzewiecki Józef o wycieczkach krajoznawczych. Zebrania te cieszyły się dużem powodzeniem i po przerwie wakacyjnej będą wznowione.

Konkurs Fotograficzny Oddziału Zagłębia.

1. Format. Najmniejszy format 9×12 (uwzględnia się powiększenia).

2. Ilość. Najmniej 6 sztuk: 3—stare zabytki, 3 lub więcej, —typy, obyczaje, obrazki rodzajowe i t. d.

3. Papier. Bez różnicy.

4. Odbitki. Winny być naklejone na kartony i opatrzone na odwrotnej stronie godłem.

5. Nazwisko będzie wymienione w zaklejonej kopercie, opatrzonej godłem i złożonej w Zarządzie Oddziału.

6. Termin nadsyłania prac do 1-go października 1911 roku.

7. Komisya składać się będzie z 5 osób kwalifikujących prace i nie należących do Zarządu Sekcyi fotograficznej, a mianowicie:

2 członków Sekcyi, wybranych przez Zarząd tejże; 1 zawodowego fotografa; 1 niecłonka T-wa decydującego o stronie artystycznej zdjęć; 1 członka Zarządu Oddziału;

8. Nagrody wyznacza się za najlepsze 3 prace: 1-sza — żeton złoty, 2-ga żeton srebrny, 3-cia — list pochwalny.

9. Koperty z godłami zostaną otwarte przez Komisyę w celu ujawnienia nazwisk po przyznaniu nagród.

10. Fotografie nadesłane po zakwalifikowaniu przez Komisyę zostaną wywieszone w lokalu T-wa na przeciąg miesiąca.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

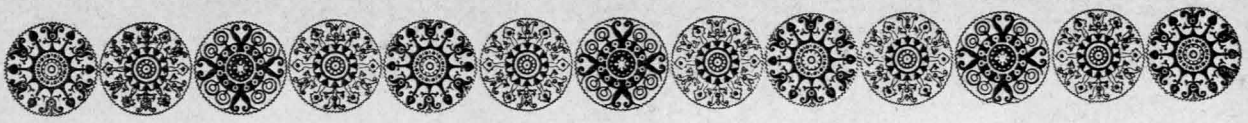

11. Z każdego nadesłanego kompletu, który został wywieszony w lokalu, 6 odbitek według wyboru komisyi przechodzi na własność Oddziału P. T-wa Krajoznawczego w Zagłębiu bezinteresownie, za wyłączeniem powiększeń, co do których uzyskać należy zgodę właściciela.

12. Do udziału w konkursie i w nagrodach mogą stawać członkowie T-wa i osoby obce, za wyłączeniem zawodowców, którzy mogą nadsyłać prace na warunkach podanych bez prawa ubiegania się o nagrody.

13. O warunkach i terminach konkursu ogłosi się w pismach miejscowych.

14. Prace nadsyłać należy pod adresem sekretarza Oddziału P. Józefa Drzewieckiego w Sosnowcu, ul. Swobodna dom Strzałkowskiego.

Uwaga. Każda odbitka winna mieć na odwrotnej stronie treściwe objaśnienie, co mianowicie oznacza.

Konkurs przyrodniczy dla młodzieży.

Pragnąc obudzić, rozwinąć i zwrócić na właściwe tory tkwiące w młodzieży zamiłowanie do kolekcyonowania tworów przyrody, sekcya przyrodnicza Oddziału w Zagłębiu P. T-wa Krajoznawczego niniejszem ogłasza 2 konkursy wakacyjne.

I. na zbiór owadów wszystkich rzędów

II. na zielnik

Ponieważ sekcyi chodzi o to, aby konkurs był jak najpopularniejszy i mógł ogarnąć jak najszersze koła początkujących amatorów-kolekcyonistów, przeto redukcyę swych wymagań posuwa ona tak daleko, że nie mówiąc o uwzględnieniu tła biologicznego nie wymaga nawet określenia gatunku, obowiązuje natomiast i przedewszystkiem czyste i staranne prowadzenie zbiorów.

Nie należy się krępować zbytnio liczbą osobników poszczególnych gatunków. Zbiory najliczniejsze będą miały pierwszeństwo, uwzględniać przytem, a może przedewszystkiem należy okazy pospolite i mniej okazałe. Sekcya wyznacza 2 nagrody dla każdego działu.

Dla działu entomologicznego.

I. nagroda: Komplet przyrządów do zbierania i kollekcyonowania owadów.

II. książki: B. Dyakowskiego Atlas motyli krajowych i Klucz do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich, wydany staraniem kółka przyrodniczego uczniów pod redakcyą Hoyera.

Dla działu botanicznego:

I. nagroda: Wilkosz Atlas państwa roślinnego.

II. Komplet przyrządów do zbierania roślin.

Termin składania zbiorów — 1 października 1911. Adres. Dyrektor Szkoły Handlowej, Będzin, i J. Drzewiecki, Swobodna 6, w Sosnowcu.

Zbiory nie wycofane do 1 listopada przechodzą na własność T-wa. W konkursie może brać udział ucząca się młodzież płci obojej.

□□□□□□□□□□□

Przebieg pogody w m. Czerwcu 1911 r.

Sprawozdanie Wydziału Meteorologicznego P. T. K.

Czerwiec tegoroczny należał do umiarkowanie ciepłych i niezbyt dżdżystych. Pierwsze dni miesiąca sprawozdawczego odznaczały się pogodnym stanem nieba, a temperatury ranne spadały dość znacznie, zniżając się (w dn. 2 czerwca) w niektórych miejscowościach niemal do punktu zamarzania. Podobny, choć nieco mniejszy, spadek w ciągu nocy obserwowano także w d. 11 i 12, a również w dn. 17 i 18 ubiegłego miesiąca. Temperatury popołudniowe nie dochodziły w ciągu tych chłodnych dni do 20° i dopiero w okresie bardziej upalnym, który się uwydatnił między 25 i 28 czerwca, przekraczały na wielu stacyach 30° C.

Średnie temperatury miesięczne wahają się przeważnie w granicach od 15 do 16 stopni i są koło 1_0 niższe od odpowiednich wartości normalnych.

Obfitsze deszcze spadły koło 9 czerwca, a także w okresie chłodniejszym od 13 do 21 tegoż miesiąca. Rozkład opadów wykazuje maximum w powiatach południowych Królestwa, gdzie spadło 60 do 80 mm. Mniejsze stosukowo opady (20 do 40 mm) wystąpiły w ziemi warszawskiej i siedleckiej. Wysokość przeciętna dla Królestwa wynosi 47 mm. (w r. 1910—71 mm.).

Według spostrzeżeń heliograficznych z Silniczki, z Przegalin oraz z Jędrzejowa, gdzie heliograf systemu Cambella został świeżo zainstalowany przez dra F. Przypkowskiego, usłonecznienie za czerwiec r. b. wyniosło w sumie miesięcznej koło 270 godzin, co odpowiada przeciętnie 9 godzinom dziennie ze słońcem niezakrytem przez chmury.

a) Temperatura:

Nowa Słupia: Temp. średnia 16°0; temp. maximum 30°,8 C. dnia 26 czerwca, temp. minimum 4°,7 C. dnia 2 czerwca.

b) Opady:	Suma mies.	Liczby dni za mies.
Bieliny (p. kielecki)	—	—
Św. Krzyż ,,	100	12
Nowa Słupia ,,	86	13
Suchedniów ,,	68	13
Jędrzejów, p. jędrzejowski	76	11
Wysokie, p. krasnostawski	62	10

TREŚĆ: *S. Matusiak.*—Soboty i sobótki.—*Stanisław Lencewicz.*—Przez Wyżynę Małopolską; (z 2 ryc.);—*Bolesław Łazarski.*—Wejście w zimie na szczyt Rysów, (z 4 ryc). *Władysław Umiński*—U źródeł Wisły; *Dr. Eugeniusz Romer*—Japonia i japończycy: (z 1 ryc.) Ze skarbów naszej przyrody.—Listy do Redakcyi.—Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. Poza tekstem: Z Naszych krajobrazów: 32. Z pow. winnickiego

Winietę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łamał Edward Gzik.—Odbijał na maszynie Aleksander Grzegołowski.—Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć

http://sbc.wbp.kielce.pl/